

# SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie:** z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

**OGŁOSZENIA** po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 50 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2—3 po południu. Drobnym rękopisów nie zwraca się.

## TREŚĆ NUMERU:

Ziemstwa na Białej Rusi i Ukrainie, p. Edwarda Grabowskiego.

O młodzieży, p. Henryka Lukreca.

„Chantecler” Rostanda, p. G. Beena.

Krytyka i Sprawozdania: Lucjan Rydel „Z greckiego świata“, p. A. Nowackiego.

„Janek“ (dokończenie), przekł. z lit. Stasysa.

Z Cyklu „Arcana“, p. W. Wolskiego.

Z teatru, p. Leona Choromańskiego.

Kronika.

Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 58).

## Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

### ZIEMSTWA NA BIAŁEJ RUSI I UKRAINIE.

W trudnym położeniu znajduje się polityka rządowa wobec kwestji polskiej na Litwie i Rusi. Z jednej strony nacjonalizm rosyjski domaga się bezwzględniego ucisku narodowego Polaków z drugiej strony ucisk Polaków, ich omijanie, ograniczenia — to ucisk obszarników, arystokracji, to pośrednie forytowanie warstw demokratycznych. Pomiędzy Scyllą polonizmu, a Charybdą demokracji z trudnością wielką porusza się łódź szlacheckiego nacjonalizmu rosyjskiego. Najłatwiejszym wyjściem z kłopotu jest zupełne pominięcie żywiołów społecznych w tym kraju, obsadzanie wszystkich placówek przez napływowy żywioł urzędniczy. Tu jednak występuje coraz to żywiej nowa przeszkoda: rozwój życia gospodarczego i komplikowanie się stosunków; państwo całe coraz to wyraźniej siłą konieczności wychowane zostaje w ustrój „przedstawicielski” — zdaniem rządu, „konstytucyjny” — zdaniem „gospodarzy III-iej Dumy” — pałdzienkowców. Zaprowadzenie ziemstw staje, jak widmo złowrogie, przed rządem biurokratyczno-obszarniczym. Kłopot to nielada obmyśleć organizację ziemstw, któraby nie dawała wstępu do nich żywiołom ludowym ukraińskim lub białoruskim, a z drugiej strony nie dopuściła i polskich obszarników. Projekt rządowy nie uznał za możliwe wprowadzenie ziemstw w gubernjach wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej. Tam polskość zbyt jest silna; są nietylko obszarnicy: Wilno i okolica mówi po polsku, znaczna część gubernji grodzieńskiej — to Polska etnograficzna, katolicyzm gubernji kowieńskiej mocno polskością zatracą. W tych gubernjach przeto o ziemstwach wogóle mowy być nie może. W 6-iu pozostałych gubernjach t. zw. „Kraju Zachodniego”, a zatem Wołyń, Podole, gub. kijowska, mohyłowska, mińska i witebska otrzymać mają ziemstwa na zasadzie projektu rządowego. Żywioł polski w ziemstwach projekt ograniczył do minimum, z natury rzeczy tem samem

forytując żywioły demokratyczne - niepolskie. Nie podobala się ta „demokratyczność” spółce nacjonalistów i pałdzienkowców, biorących udział w komisji samorządowej. Nacjonalisci rosyjscy, (zatem biskup Eulogjusz, hr. Bobrinskij i t. p.) okazali się względnie dla Polaków; rząd ich pokrzywdził; trzeba im nieco więcej miejsca w ziemstwach zostawić. O potrzebie zwiększenia pierwiastku polskiego, zatem obszarniczego, przekonali nacjonalistów do reszty pałdzienkowcy. Stanął pakt pomiędzy obu stronnictwami, a zyskać na nim mieli Polacy. W szczegóły projektu rządowego wchodzić nie warto; ulegnie on licznym jesszeze zmianom zanim stanie się prawem obowiązującym; nie warto przeto tembardziej opisywać drobnych targów pomiędzy „przyjaciółmi Polaków-pałdzienkowcami”, a „sprawiedliwymi wymierzającymi” — nacjonalistami; targi te wprost śmieszne — dotyczyły kwestji stosunku Polaków do nie-Polaków w każdym ziemstwie powiatowem, na każdym stanowisku ziemskim; wszędzie rozważano z jednej strony niebezpieczeństwo polskie, z drugiej — demokratyczne. Żywioł polski ma jednak w tych 6-iu gubernjach przyjaciół wśród nacjonalistów; to też liczba stanowisk polskich dzięki paktowi pałdzienkowco-nacjonalistycznemu znacznie wzrosła. Polacy w komisji wybierać mogli pomiędzy projektem rządowym, a projektowanymi przez oba stronnictwa zmianami. Nie dziw, że wybierali te ostatnie, te też zmiany zostały przez komisję uchwalone. Po uchwaleniu jednak tego mniejszego zła, któryś z członków komisji zaproponował głosowanie en bloc za lub przeciw projektowi rządowemu z uchwaleniami przez komisję poprawkami. Tu zaszło zjawisko znamienne: projekt cały przepadł większością głosów prawicy, nacjonalistów, Polaków i socjalnych demokratów przeciwko głosom pałdzienkowców, kadetów i postępowców. Motywy głosowania są ciekawe i zrozumiałe. Prawica jest przeciwna ziemstwu, jako instytucji konstytucyjnej, gdyby przeto mogła, zniosłaby ziemstwa już istniejące, a nie organizowałaby nowych; nacjonalisci uznają wprawdzie nowy ustrój państwowy, nie są jednak gorącymi zwolennikami jego ugruntowywania się, zwłaszcza

cza na kresach; radziłyby traktować kresy, jako kolonie rosyjskie, rządzone biurokratycznie przez pseudo-konstytucyjną Rosję w jej granicach etnograficznych; jeżeli zgodzili się na pakt z październikowcami, to tylko w obawie przed zbytnią demokratycznością ziemstw, woleli już ich polskość, choć bardzo względną. Tym antykonstytucyjnym i pseudo-konstytucyjnym żywiołem przeciwstawiły się w komisji głosy stronnictw konstytucyjnych, które się jednak rozstrzelily. Październikowcy, kadeci i postępowcy głosowali za projektem, uznając oportunistycznie, że lepsze ziemstwa złe, niż żadne.

Inaczej na sprawę patrzy frakcja s-d. Jej przedstawiciel nie mógł głosować za projektem rządowym z poprawkami komisji; Polacy również zajęli bezwzględne stanowisko, i projekt w komisji został odrzucony.

Niebywały radykalizm polityczny Koła Polskiego w sprawie powyższej, na skutek którego nastąpiła znamienna uchwała, jest wynikiem dwóch przyczyn: 1) głosowanie odbyło się dopiero w komisji, jest przeto tylko manifestacją, sprawy nie przesądającą; 2) Koło nie znalazło się tu w kolizji pomiędzy patrijotyzmem a zasadą demokratyczną. Radykalnie stojąc na stanowisku narodowym nie sprzeciwiało się również interesom klasowym, które reprezentowało; broniło bowiem interesów obszarników przed demokratyczniejszymi „żywiołami obcemi”.

Losy projektu w plenum będą tem ciekawsze, że rząd żywo jest zainteresowany, aby ziemstwa były uchwalone przed wakacjami letnimi. Z ziemstwami bowiem łączy się sprawa wyboru posłów do Rady Państwa z gubernji litewsko-białoruskich.

Jak wiadomo, w roku zeszłym z inicjatywy Rady Państwa uchwalono w Izbie wyższej projekt przedłużenia o rok mandatów członków Rady Państwa z gubernji t. zw. Kraju Zachodniego. Myślą przewodnią inicjatorów było, ażeby w ciągu roku rząd opracował nowe prawo wyborcze do Rady Państwa, uniedostępniające wstęp do niej Polakom. Projektu jednak Duma nie uchwiliła; zmieniła to w tym sensie, że mandat członków Rady Państwa nie miał być przedłużony, lecz miały nastąpić nowe wybory, ale mandat na ich zasadzie otrzymany miał służyć tylko na rok jeden. W Dumie słusznie dowodzą, że zgromadzenia prawodawcze nie mogą przedłużać posłom ich mandatów, że mandaty te posłowie otrzymali

od wyborców na pewien ściśle określony czas, że tylko ci wyborcy mocni są mandatem taki przedłużyć drogą ponownego wyboru, że projekt Izby wyższej sprzeciwia się najkardynalniejszej zasadzie idei przedstawicielstwa. Ostatecznie projekt został prawem obowiązującym w brzmieniu żądań Dumy; skutkiem tego odbyły się w roku zeszłym wybory, a mandat członków Rady Państwa z gubernji Kraju Zachodniego wygasa za kilka miesięcy.

Ideą przewodnią konstytucyjnej większości Dumy, która uchwalała powyższy projekt było przypilenie w sprawie wypracowania projektu ziemstw, ażeby w roku bieżącym, po wygaśnięciu mandatów członków Rady Państwa, wybory się odbyły na zasadach ogólnych, jak w gubernjach ziemskich, t. j., aby zgromadzenia ziemskie wybrały nowych członków Rady Państwa. Rząd się nawet wobec Dumy zobowiązał do przedstawienia w ciągu roku odnośnego projektu ziemstw.

Rząd przypilony obietnicy dotrzymał: wniósł do Izby projekt ziemstw; jest przeto zainteresowany w jego uchwaleniu. W razie bowiem jego odrzucenia powstanie nowa kwestja — wyborów członków Rady Państwa; wybory te odbyłyby się w takim razie na zasadach dotychczasowych, bo żaden nowy projekt wyborczy nie został przygotowany; wybory zapewniłyby zatem Polakom mandaty poselskie. Tego rząd nie chce i dla tego tem ciekawszym wydaje się los odrzuconego przez komisję Dumy projektu rządowego na plenum Izby.

*E. Grabowski.*

## O MŁODZIEŻY.

W nieokielznanym tabunie „ślepych kobył”, harujących na polu społeczno-politycznym i kulturalnym w postaci kwestji żydowskiej, stosunków polsko-żydowskich, patrijotyzmu i t. d. poczyną wysuwać się na czoło kwestja młodzieży. Coraz częściej sprawa ta zajmuje umysły we wszystkich prawie sferach i obozach. Obóz narodowo-demokratyczny po smutnych kolejach życiowych młodzieży polskiej—niema powodu rozdzierać szat lub obłudnie biadać nad jej „depra-

16)

W. MAKOWSKI.

## ZBRODNIE, KARY I SĄDY WYJĄTKOWE.

Jak dalece wersalskie manjery w sposobie traktowania aresztowanych pod zarzutem jakiegokolwiek zbrodni są zachowywane przez niższe organy policyjne, o tem zapewne szeroko rozwodzić się nie trzeba, pod tym względem ma policja całego świata swoje wypróbowane sposoby zmierzające do rozwiązywania języków i uniemożliwiania myśli o oporze; jeden z tych sposobów, jak kajdanki ręczne, jakkolwiek i przez prawo wskazane i pozornie nieszkodliwe, w zastosowaniu jednak stają się rzeczą nieznośną i wprost męczarnią. Sądownie stwierdzone wypadki niezdejmowania kajdanków ręcznych (zakładanych czasami w tyle korpusu) w ciągu kilku dni dają pojęcie o tem, co znosi w takich wypadkach więźni. A obok tego stoi zgodny chór wszystkich prawie oskarżonych głoszący o bicu w rozmaitych wydziałach śledczych i urzędach policyjnych, od czasu do czasu, rzadko coprawda rozpoczynane bywają dochodzenia urzędowe w tym kierunku, dochodzenia takie rzadziej jeszcze doprowadzają do jakichś pozytywnych rezultatów, bądź co bądź wszakże, jakkolwiek się będziemy zapatrywali na niewątpliwe i stwierdzone wypadki bicia, czy jako na

objawy sporadyczne, czy jako na zjawisko mniej więcej systematyczne, możemy i musimy z niem się liczyć.

Owóz człowiek, o którym mówiliśmy, staje przed widmem bólu fizycznego powziętym z panującego przekonania, że bez policzków się nie obędzie, lub przed realnym bólem, staje wreszcie przed równie rozpowszechnioną myślą o tem, że wskazanie innych będzie dla niego tytułem do zrzucenia ze siebie odpowiedzialności zupełnej, wreszcie psychikę jego zabarwia niewątpliwa groźba kary śmierci.

W takich przeciętnych warunkach oczywiście z odchyleniami w rozmaite strony, odbywa się zwykle badanie przedwstępne ze wskazywaniem współwinowajców. Stosunkowo niewielka ilość ludzi wychodzi z tego badania bez przyznania się, bez wyznań szczerych dobrowolnych i nieprzymuszonych, które wnet potem bywają cofnięte, a doświadczona już pod tym względem praktyka proceduralna traktuje owe opowieści jako nieistniejące, chyba, że są one dla jakiegoś specjalnego względu potrzebne.

Czasami opowieści te są zupełnie zmyślone, nic ich nie potwierdza, czasami znów mniej lub więcej prawdziwe, zależy to od całego szeregu okoliczności ubocznych, wytrwałości jednostki, jej wyrachowań i sprytu, a także warunków towarzyszących procedurze.

Jakkolwiek bardzo częsty wypadek taki nie zawiera w sobie nic specjalnie ciekawego pod względem psychologicznym, jest zjawiskiem mniej włąc-

wacją", „wichrzycielstwem" i „skłonnościami nihilistycznymi." Nie niepokoi chyba naszych „ojców" narodu pogrobowy nastrój wśród młodzieży zarówno u nas, jak zagranicą, tej przynajmniej młodzieży, która niedawno jeszcze była łatwopalnym chrustem dla prometejskiego ognia narodu. Zaś swawolny nastrój dojrzewającego pokolenia, dla którego „ślepe kobyły" nie przedstawiają żadnej atrakcji, nie wywołuje chyba zmarszczeń troski na zasępionych czołach naszych opiekunów i guwernerów. Dążenia młodzieńcze dzisiejszego pokolenia przeważnie przyłączają się do galopujących rumaków swawoli i uciechy, i trudno je wziąć na lep gorzkich pigułek, ulepionych ostatniemi czasy w alchemicznych pracowniach — w prasie i stowarzyszeniach. Nie mniej jednak sprawa młodzieży — choć jeszcze młoda — a tak już beznadziejnie ślepa, — wjeżdża do mamezu społeczno-politycznego.

I znów na łamach „Prawdy", gdzie zazwyczaj „ślepe kobyły" poddawane są ostatecznej próbie leczenia, — p. Leon Gorecki zabrał głos w sprawie młodzieży. W pierwszej części swego artykułu<sup>1)</sup>, autor w sposób zwięzły a barwny maluje minione dzieje rozproszonego dziś pokolenia. „Duch tej młodzieży miał się śmiało wszystkich najzawilszych zagadnień, rozstrzygał je może opacznie, może dorywczo — ale zawsze szlachetnie. Był to szczególny okres, kiedy dojrzałe elementy trwały w postawie biernej, a całe brzemie olbrzymich zadań ciążyło na wątłych barkach młodzieży, z których niejedne ugięły się i złamały. Zgryźliwy tetryk nazwie może ten okres „pajdokracją", ale i on nie zaprzeczy, że wówczas pod studenckim mundurem i szkolną bluzą były najdzielniejsze w narodzie serca." Jest tu pewna nieścisłość, a właściwie — przesada. „Całe brzemie olbrzymich zadań" nie ciążyło na „wątłych, barkach młodzieży", niosła ona je wspólnie z młodzieżą robotniczą, a raczej pomagała jej nieść, służąc składką, myślą, zapałem, a często i czynem.

P. Gorecki, znając epopeję młodzieży od początku do końca — wiernie mógł odtworzyć minione dzieje; wolno mu było powiedzieć: „przyszła, minęła nawałnica. Zostały po niej na długo niezatarte ślady. Nigdzie

<sup>1)</sup> „Wśród młodzieży" № 15 „Prawdy."

nie są one bardziej widoczne, nigdzie spustoszenie nie jest dotkliwsze, jak właśnie w kołach młodzieży.

„Opadły nietylko ramiona, ale i duch." „Młodzież, która najwięcej niosła ideałów — najwięcej ich straciła." Jest to w porządku rzeczy. Przyczyny tego stanu są jasne, zrozumiałe, a co najważniejsza, że niejednokrotnie już stwierdzone zostały. Nie będziemy przeto dalej wraz z p. Goreckim wyważali drzwi otwartych. Idzie nam w tej chwili o podział dzisiejszej młodzieży, uczyniony przez autora w omawianym tu artykule. P. Gor. dzieli ją na trzy kategorie. Do pierwszej zalicza tych, co niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Do drugiej zalicza tych, co wdroywszy się tylko „do wiecowych form działalności społecznej, wszystko uznali za rzecz błahą." W trzeciej grupie tkwią ci, „co zachowali instynkt realny: *prawdziwi społecznicy*." Ci właśnie, według orzeczenia autora, „wyzbywszy się wiecowych nałogów i dogmatycznych uprzedzeń, stają znów w przedniej straży polskiego postępu pod hasłem *obrony praw narodowych, rozwoju kultury i wolności myśli*."

Zgłaszamy tu natychmiast określenie czwartej kategorii, do której włączamy tych, co niczego nie zapomnieli, (dobra pamięć nigdy nie zawadzi i nie osłabi czynności mózgowych) a wiele się nauczyli, i którzy tem się różnią od „prawdziwych społeczników", że wyraźnie formułują swój program pracy i nie chowają swych haseł pod korcem niewyraźnej „obrony praw narodowych" i „rozwoju kultury", a wyraźnie określają swoje stanowisko społeczne i obowiązki, które ze stanowiska tego wypływają. Jest to grupa cprawda nowa, lecz nie spada nieoczekiwanie; jej ideologia nie jest owocem jałowych rozmyślań na temat „jakby to dobrze było, gdyby i t. d." lecz krystalizuje się jako konieczna, naturalna i logiczna konsekwencją poprzedniego okresu naszych dziejów, który zamknął *niektóre* perspektywy, a otworzył nowe, postrzeżone i uznane przez tych, którzy „niczego nie zapomnieli, a wiele się nauczyli", a niepostrzeżone i nieuznane jeszcze przez tych, którzy „niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli". Domyślamy się kogo ma na myśli p. Gorecki, kiedy mówi o działaczach, objętych przez pierwszą kategorię. Ci istotnie nie mogą się zdobyć jesz-

naturalnem dla typu półświadomego i biernego psychicznie, jaki stanowi większość przestępców. Typ ten spotykamy równie dobrze w sądach wyjątkowych, jak zwykłych i charakterystyczne cechy jego, jakkolwiek bardzo ważne niewątpliwie dla obrazu psychiki przestępcy wogóle, nie dodadzą nam w tej chwili rzeczy bardzo nowych, w znacznej mierze, jeśli nie całkowicie są one już zawarte w tem cośmy mówili o stosunku przestępcy do przestępstwa.

Zdarza się jednak, i to jest ten drugi ciekawszy typ, że owe zeznanie o fakcie i osobach dawane w wydziale śledczym nie zamykają i nie wyczerpują jeszcze całokształtu działalności opowiadającego osobnika.

Oto tak samo, jak w pierwszym wypadku widzimy go aresztowanego pod zarzutem wprowadzenia ciężkiej zbrodni, ale pod zarzutem względnie łatwym do odparcia, tymczasem w warunkach prawdopodobnie takich samych, jak w wypadku omawianym poprzednio dokonywa się przyznanie do winy, wskazanie współników przestępstwa, przyznanie się dalej do kilku lub kilkunastu innych czynów zbrodniczych, przyznawanie się stopniowe i systematyczne co pewien czas, ze wskazywaniem coraz to nowego koła ludzi biorących udział w tych przez lata nieodkrytych, obecnie wykrywanych, wyjaśnionych, przestępstw.

Zbrodnie, głównie o charakterze politycznym, jakie były rozpoznawane przez sąd wyjątkowy w Warszawie w wielkiej części mogą być ułożone grupami,

z których każda będzie związana z imieniem jednego z takich delatorów.

Sami oni rzeczywiście brali poprzednio żywy udział w tych samych czynach, które obecnie wykrywają, często występowali jako przywódcy tych „akcji bojowych", o których potem opowiadają przed władzami śledczymi i sądem, ludzie wskazywani teraz przez nich jako przestępcy, przedtem byli pod ich rozkazami.

„Byłem instruktorem", „naczelnikiem piątki bojowej", „kazałem mojej piątce zabić NN" i t. d. i t. p. Często daje się słyszeć z ust osoby występującej w procesie w charakterze świadka. — Powtarzam, oni to są głównem źródłem wykrycia znacznej części przestępstw politycznych, a i nie politycznych, sądzonych przez sądy wyjątkowe.

Tutaj badanie psychologii tych typów wydaje mi się bardzo ciekawe, cóż kiedy dokładne jakies dane w tym względzie będą znów rzeczą ogromnie trudną, wprost niemożliwą do osiągnięcia. Postaramy się skupić ten materiał, jaki możemy mieć.

Rzadko możemy przypuszczać raczej niż stwierdzić w takich wypadkach prowokatorstwo we właściwym znaczeniu tego wyrazu, czasami w pewnej specyficznej formie, znowu raczej szpiegowskiej, niż ściśle prowokatorskiej występuje ono już potem, kiedy delator po wyczerpaniu całego zasobu wiadomości musi jednak istnieć nadal i istnienie swoje usprawiedliwić.

cze na przegląd wszechstronny *własnej przeszłości*. Ludzie owej czwartej kategorii, reprezentujący „Najmłodszą lewicę” są to rewidenci „dziejowi” w stosunku do tej właśnie przeszłości i dążą do stworzenia *syntezy lewicowej*. *Prawdziwi społecznicy* p. Goreckiego są to właściwie nieokreśleni postępowcy, którzy tracą na wyrazistości przy konfrontacji nawet ze społecznikami pierwszej kategorii. Ci ostatni — zjadacze każdej litery marxowskiej — dziś niezawodnie giną intelektualnie w uściskach suchej doktryny — lecz to nie znaczy, że silny prąd racjonalizmu, poddający naszą lewicową przeszłość koniecznej krytyce, wartościowaniu i segregacji rzeczy na żywotne i obumarłe — nie wpłynie na osłabienie wpływów hypnozy programowej i partyjnej i nie zmusi ich do uznania nowej drogi, daleko odbiegającej od drogi ich „zarządów głównych”. Że to jest wielce realne i prawdopodobne świadczy rozłam, dokonywany się zagranicą. Jedynym ich brakiem jest niewola umysłowa. Lecz i ona podlega zanikowi — jak każda niewola.

Wówczas staną oni na tej podstawie, która pozwoli stosować metodę naukowego badania do zmieniających się stosunków i przyjąć wskazania praktyczne, stąd wynikające. To jednak ich różni, jak i „najmłodszą lewicę” od „prawdziwych społeczników” p. Goreckiego, że nie obracają się w sferze tak utudnych, znikomych i często nieuchwytnych haseł i określeń — jak: „humanitaryzm”, „ludzkość”, „postęp”, „sprawiedliwość”, które nb. stały się dostojeństwem wszystkich grup „bezpartyjnych” i figurują na czele ich oficjalnych organów i prospektów reklamacyjnych, a które pod głośnie mi tyradami przemycają wyraźne i dla każdego postępowca uchwytnie zasady warcholskiego wstecznicwa. To samo się tyczy haseł „obrony praw narodowych” i „rozwoju kultury”, które w swem ogólnikowym znaczeniu nie są prywatną własnością „prawdziwych społeczników”, lecz także są alfą i omegą programu Koła Polskiego i Realistów. Prawdopodobnie wskutek swej nieokreśloności i chwiejności „prawdziwi społecznicy” na legalnym polu przedstawiać muszą „garść postępowców”, zmagającą się z nawałą rodzimego obskurantyzmu”.

Tragedją przejściową ludzi pierwszej kategorii jest to, iż dojrzejąc na mocnym i określonym gruncie pra-

cy społecznej nie mogą jeszcze przebić i zrzucić twardej łupiny, tkwiącej pod czaszką i krępującej czynności myślowe; tragedją wieczną ludzi trzeciej kategorii, tj. „prawdziwych społeczników”, jest brak prawdziwej podstawy w ich pracy i wieczna pogoń za żywiołami postępowymi w mieszczaństwie. To sprawia, że ciągle, jak duchy pokutujące unoszą się w przestworach z gromkimi słowy na ustach i wieszczą światu „sprawiedliwość” i „humanitaryzm”, lub zbici w małą garstkę w lokalu stronnictwa pochylają troskami nabite głowy i biadają nad snobizmem Warszawy, która pojąć nie może lub nie chce ich „prawdziwego postępu...”

Henryk Lukrec.

## „CHANTECLER” ROSTANDA.

### I.

Długo oczekiwany, odkładany prawie przez sześć lat z miesiąca na miesiąc i z roku na rok, poprzedzany głośnie fanfarą zachwyty, krytyki i sensacji, zdawna zapowiedziany, przez jednych wzniesiony na szczyty francuskiej poezji, przez innych ośmieszony — zjawił się na scenie teatru przy Porte Saint-Martin Chantecler Rostanda. Wystawienie Chantecler’a jest dzisiaj obok kwestji *égouts*, (kanałów miejskich) zagrożonych przez wylew Sekwany — kwestją, o której mówi się najwięcej, sprzeczna najgłośniej. Rozmów tych pełne są kawiarnie na bulwarach, wszystkie jour’y i fix’y paryskiego beau-mondeu i służą one jako temat do rozmów zarówno epiciera paryskiego przy obiedzie, jak i świata artystycznego i literackiego. To co mówię nie jest bynajmniej paradoksem. Epicier paryski (a oni przecież — fizyczni i moralni epicierzy stanowią  $\frac{3}{4}$  publiczności — nawet premierowej) z równem zainteresowaniem rozprawiać będzie o kanałach jak i o Chanteclerze, podciągając oba te zjawi-

Ze znanych mi wypadków zaledwie w jednym, w sprawie grupy anarchistów, można by podejrzewać w osobie znikniętego gdzieś zagranicą, tak samo, jak przedtem przybył niewiadomo skąd z zagranicy, świadka, prowokatora raczej niż świadka, był to zapewne amator, działający zawodowo, znikł i można przypuszczać, że kontynuuje swój zawód gdzieś indziej na szerokim świecie, w którym zginął.

W innych wypadkach było zawsze prawie tak, że aż do chwili, w której dany osobnik staje się delatorem, działalność jego nosi na sobie wszystkie cechy szczerości, jest szczerym członkiem lub instruktorem „drużyny bojowej” i dokonywa czynów przestępnych bez jakiegokolwiek myśli ukrytej.

Jaki czynnik, który moment w jego życiu był decydującym dla zmiany postępowania, nie wiem, przypuszczam, że obawa kary grała tu pewną rolę dość poważną, ale przypuszczam również, że obok musiały być i inne czynniki. Obawa kary występująca tutaj jako czynnik przekształcenia psychicznego stoi w związku i popiera nasze spostrzeżenia co do tego, że obawa taka zwykła pojawiać się już później dopiero przy grożącym z tej strony niebezpieczeństwie.

Jeżeli obawa taka, jeżeli nawet całość pobudek, którąśmy widzieli przy pierwszym typie, działa na razie w drugim, wpływa na złożenie pierwszych zeznań obciążających, to na dalszą działalność na dalszą szczerłość już wpływają motywy bardziej skomplikowane.

Pierwsze bowiem zeznania mogą być tylko dowodem chwilowej słabości, niedostatecznej odporności na ten nowy stan psychiczny, w jakim znajdzie się osobnik ujęty, podejrzany, badany, niepewny jutra. Zazwyczaj też i u drugiego typu pierwsze badania są takie same jak u pierwszego: niezbyt chętne, bojaźliwe, niepewne, już wprawdzie opowiadające, ale jeszcze z zastrzeżeniami, z przemilczeniami. To dopiero pierwszy niepewny krok, względnie jeszcze łatwy, a przynajmniej możliwy do cofnięcia.

Ale tutaj wchodzi już jako bodaj decydująca okoliczność stosunek delatora do ludzi, których on w ręce władzy wydaje. Stosunek ten w grubych zarysach bywa dwojaki: luźny i wypadkowy, albo ścisły i zasadniczy. Pierwszy w przestępstwach kryminalnych, drugi prawie zawsze w przestępstwach politycznych.

Przyjaźń osobista, współdziałanie i wspólne dokonanie przestępstwa u kryminalnych zbrodniarzy zwykle nie pociąga żadnych wyjątkowych ich względem siebie zobowiązań. Zostawić w odwrocie po nieudanym napadzie ranionego towarzysza na mrozie w lesie, jeszcze go obdrzeć z kozucha, to zjawisko zupełnie możliwe, — w podobnym wypadku „drużyna bojowa” stara się zwykle zabierać swoich rannych, ich bowiem wiąże znacznie więcej nici, niż sama tylko wypadkowa okoliczność porozumienia się co do dokonania danego występku, wiąże ich bliskość ideowa, zbioro-

ska pod jedną prawie kategorię zjawisk, szukając tu i tam jednakowych przyjemnych nie nazbyt silnych i nie denerwujących wzruszeń.

A więc Chantecler ujrzał nareszcie światło kinietów. Do ostatniej chwili wątpiono czy się ukaże i już prasa i opinia publiczna zaczęły uważać Chanteclera za pewien rodzaj mitu, rzeczy, która rzeczywistością stać się nie może. I rzeczywiście — pewnego rodzaju fatum zawisło nad tem najmłodszym dziełem Rostanda. Chantecler miał się ukazać już w roku 1904. Wystawieniu jego wciąż stawało coś na przeszkodzie. A więc — choroba Coquelin'a, który miał być wykonawcą roli Chanteclera, choroba samego Rostanda, nieporozumienia w sferach teatralnych, wreszcie śmierć Coquelin'a. A gdy już wszystkie przeszkody usunięto i znaleziono godnego zastępcę w osobie Guitry i gdy dzień próby generalnej został naznaczony, dawno niewidziany, gwałtowny wylew Sekwany przeszkodził próbie i zmusił Rostanda oraz Herza i Coquelin'a (syna) dyrektorów teatru przy Porte Saint-Martin do ponownego odłożenia premjery.

Zdawało się, że przyroda sama sprzysięgła się przeciw Chanteclerowi i nie chce dopuścić jego publicznych narodzin. Nareszcie Chanteclera wystawiono. Wystawiono go z pompą nadzwyczajną, hukiem i nakładem i podbił on od razu serca większości. Czemu się tak stało — czem jest Chantecler — i jaką jest jego rola we współczesnej umysłowości francuskiej — postaram się na to w tym artykule odpowiedzieć.

## II.

Rzecz cała dzieje się w kurniku. Główny bohater — kogut. Ten kogut jest głęboko przekonany, że jego śpiew jest przyczyną wschodu słońca, że od niego tylko zależy kiedy i czy słońce wzejdzie. Znany błąd logiczny: *post hoc, ergo propter hoc* można tu przetrawestować na... *post eoq ergo propter eoq.*

W akcie pierwszym widzimy na scenie podwórce i wszystkich jego mieszkańców. Widzimy koguta i to znaczenie i powagę jaką kogut się cieszy wśród otaczających go, tę wiarę, jaką wszyscy w moc jego żywią.

we istnienie i poza daną „akcją“, i to właśnie jest decydującym czynnikiem.

Jeżeli zatem kryminalista, bandyta powiedzmy, wskaże na takim badaniu swoich towarzyszków, to taką słabość każdy z nich mu wybaczy, w najgorszym razie zbiją go przyjaciele i każą mu powetować zło, przez zapieranie się, a on to uczyni znowu z tak samo niewielką nadwyżką świadomości, jak przedtem ich oskarżał, i oskarżenie i potem chęć obrony, mimo nawet wyraźnego sprytu czasami, będą miały w sobie całą prostotę i naiwność rzeczy niewyrozumowanej, rzeczy, która wielkich zasobów pracy intelektualnej nie pochłoneła.

Jeżeli to samo uczyni „towarzysz bojowy“, „instruktor“, to odwrót dla niego jest już trudniejszy, czasem bardzo trudny, czasem wprost niemożliwy. On bowiem nie jest wypadkowym uczestnikiem czynu, odpowiedzialnym on jest przed całą organizacją ludzi o tym samym poglądzie życiowym, w którego imieniu on działał. Może nawet nie tyle ideowy element politycznej zbrodni, ile właśnie stojąca za każdym takim osobnikiem organizacja, pewna siła, która mogła wpływać podniecająco na jego energję i świadomość wówczas, kiedy szedł na czyn, teraz wystąpi przed nim jako groźba, jako straszak, który mu zagrozi drogę do powrotu.

Przytem obok najważniejszego momentu organizacji, stoją czynniki inne. Więc pobudki zbrodni. Tam

Jeden kos tylko „*ne marche pas*“ i nie chce okazać Chanteclerowi hołdów ogólnych, szlifując na nim swój dowcip, niby dziób o klatkę. Ale Chantecler nie robi sobie z tego wiele, uważając że jest to tylko hołd swoisty. Innym jest pies. Nie posiada on pobłażliwości koguta i nieznosi kosa. Pies jest bez rasy i bez inteligencji i czuje we łbie wielkie zamieszanie: biedny mieszaniec. W kosie widzi on niebezpieczeństwo dla koguta. I w pawiu. Paw to snobizm zwierzęcy. Pies radzi Chanteclerowi, żeby był ostrożnym i wystrzegał się swych nieprzyjaciół. Nagle rozlega się strzał i złoty ptak pada w środku podwórza. Jest to bażant, prześladowany przez myśliwego; prosi o schronisko oswojonych swych braci. Dobry pies ofiarowuje mu swoje legowisko, a kiedy goniący bażanta pies myśliwski wpada na scenę — zapewniają go, że bażanta tu nie było. Tymczasem okazuje się, że bażant jest samiczką, którą natura obdarzyła pięknymi piórami i niechęcią siedzenia na jankach. Chantecler przygląda jej się z wielką ciekawością, rozpala się jego oko okrągłe — i wyciąga ku niej łapę, opuszczając ruchem lubieżnym skrzydła — lecz spotyka go zawód. Bo ona pokocha tylko ptaka wolnego, który opuści dla niej swe podwórce. Ale Chantecler nie chce; świat wielki nie obchodzi go wcale, jemu podwórce wystarcza. Wszak słońce jednakowo złoci podwórce i świat cały. I śpiewa wspaniały hymn na cześć słońca. Tymczasem przybycie gościa wywołuje wielką sensację. Perliczka chce mieć atrakcję na swój jour-fixe i zaprasza bażancicę i Chanteclera, perliczka jest elegantką tego światka. Chantecler odmawia zaproszeniu, pogardzając tem zebraniem gdzie kos tryumfy święci, a paw się pyszni. Jasnem jest jednak, że pod wpływem pięknych piór swej nowej znajomej ulegnie. Lecz oto słońce zachodzi. Wszyscy mieszkańcy podwórza zajmują swe zwykłe miejsca i układają się do snu. W ciemności rozpalają się oczy ptaków nocnych, których godzina nadeszła. Knują oni spisek przeciw Chanteclerowi, którego nie-nawidzą, gdyż budzi wrogi im dzień. Pomaga im parę ptaków dziennych, które zazdroszczą kogutowi głosu i sławy. „Nie lubię koguta“ mówi kaczka „bo niema pletw.“ Kot nie lubi koguta, gdyż pies go lubi, a kret go nie lubi, bo go nigdy nie widział. Krzyki

w kryminalnym czynie pobudka była dokładnie dostępną zmysłom, wyobraźni zmysłowej, rabunek więc, chęć zdobycia korzyści materialnej, jest to zapewne rzecz należąca do kategorii najbardziej plastycznie wyobraźalnych nawet przy niewysokim stopniu luźnej świadomości; — ta pobudka pozostaje tak samo plastyczną i potem wszedźszy w świadomość gra ona tam rolę rzeczy stałej, niezmiennej, wchodzi w sferę ujmowania instynktowego i stan rzeczy taki, w którym by złodziej i bandyta stał się ideowym tępicielem bandytyzmu, t. j. wzniósł się na inny zupełnie odmienny i już wywnioskowany intelektualnie, a nie ujęty instynktowo punkt widzenia, taki stan rzeczy jest rzadkością — a jeśli bywa to w wypadkach mało oczekiwanych, — widziałem takie typy, ale tylko pośród „drużyn bojowych“, pomiędzy przestępcami politycznymi, wątpię żeby się znalazły i w szeregu policji śledczej. Miejsce pobudki instynktowo materialnej, zajęła tam pobudka intelektualno-ideowa i nastąpiło przekształcenie psychiki, odrodzenie człowieka, nawrócenie w biblijnem niemal znaczeniu. Nie o takim nawróceniu mowa tam, kiedy ujęty przestępca daje obciążające innych zeznania, starając się możliwie salwować siebie, albo nawet i nie salwując siebie, ale starając się z tych zeznań wyciągnąć dla siebie możliwe korzyści.

(d. c. n.).

się wzmagają i słycać coraz częściej: „nie lubię koguta, nie lubię koguta!” A bażancica, słysząc te krzyki szepce: „A ja zaczynam go kochać.”

*W akcie drugim* widzimy wszystkie nocne ptaki: sowy, pułchacz i t. d. zebrane w lesie na naradę postanawiają że Chanteclera usunąć należy, a noc nigdy się nie skończy. Wybierają z pośród swych dziennych sprzymierzeńców białego koguta, zwycięzcę w walkach we Flandrji i Anglji, który jutro na przyjęciu perliczki ma zacząć Chanteclera i w walce zwyciężyć. Ze zwycięstwa tego cieszą się już dziś i śpiewają pieśń radości i tryumfu. Lecz o to pada pierwszy głos Chanteclera i wszystkie ptaki nocne rozbiegają się, mrugając oczami, podczas gdy kos śmieje się z ich straconej buty. Przylatuje zaniepokojona bażancica, pytając, czy Chantecler nie jest w niebezpieczeństwie. Kos uspakaja ją i odchodzi zostawiając ją tête à tête z Chanteclerem, który odkrywa swej przyjaciółce wielką tajemnicę swej słonecznej mocy. Lecz kos, który z ukrycia słyszy ich rozmowę, nie traktuje tak poważnie roli Chanteclera, za co naraża się na jego gniew. Kos mści się szlachetnie i odkrywa Chanteclerowi spisek ptaków nocnych. Kogut się puszy i postanawia iść na wieczór do perliczki i zająć niebezpieczeństwu w oczy.

*Akt trzeci* wprowadza nas na przyjęcie do perliczki. Wszyscy są zgromadzeni. Chantecler przychodzi ostatni i uprzedzając spisek, sam szuka zaczepki z białym kogutem. W czasie walki cień jakiś pada na wszystkich: przelatuje sęp i wszystkie ptaki chowają się za Chanteclera. Niebezpieczeństwo przechodzi, a gwar i walka się wznawiają—i Chantecler wychodzi z niej zwycięzko. Lecz rozgoryczony na wszystkich decyduje się porzucić dom i podwórze i pójść z bażancicą w las.

*W akcie czwartym* znowu widzimy las w nocy. Niby modlitwą brzmiały głosy drobnych ptaszków. Zjawia się kogut z tryumfującą bażancicą. Tryumf ten jest długotrwałym, bo bażancica jasno widzi, że kogut tęskni za swym domem i jest z kosem w ciągłej telefonicznej komunikacji, utworzonej z dwóch drzewonków leśnych. Bażancica nie może kogutowi przebaczyć zawodu i postanawia przez zemstę wykazać mu, że nie on budzi słońce.

Przychodzi do koguta delegacja ropuch, prosząc, żeby upokorzył śpiewem swym słowika. Lecz Chantecler, słysząc cudny śpiew słowicy wygania ropuchy i prosi śpiewaka leśnego o przebaczenie. Nagle pada strzał i milknie cudny śpiew. Lecz w tej chwili odzywa się drugi słowik. Chantecler tak jest odurzony cudnym tym śpiewem, że zapomina o czasie upływie i — oto dzień. Słońce weszło bez Chanteclera. Przerażony kogut chce uciec, lecz przesładuje go kłusownik, z rąk którego ratuje go wierna bażancica, wpadając przy tem w zastawioną sieć. Wyjmują bażantkę z sieci, zanoszą do kurnika, gdzie znajduje już Chanteclera ocalonego! Chantecler pozbył się już złudzeń co do swojej „słonecznej mocy”, lecz nie przeszkadza mu to spełniać swych obowiązków codziennych, z większą, co prawda, skromnością. A bażancica oswojona przez miłość nie będzie już mąciła spokoju Chanteclerowi. Nadchodzi dzień, ptaki poczynają swe ranne śpiewy, lecz oto słycać kroki. Trzeba zapuścić kurtynę: to ludzie.

### III

Taka jest treść Chanteclera. Publiczność przyjęła sztukę bardziej niż zyczliwie. Ten rodzaj sztuki gdzie „les bêtes parlent” spodobał się jako nowość. Przytem znaczyła dużo kosztowna i wspaniała wystawa, nadzwyczajna reklama, poprzedzająca wystawienie — jednym słowem sensacja. Dziwniejszem jest to,

że i krytyka urzędowa zachwyca się Chanteclerem i często podnosiły się głosy, że Chantecler jest nie tylko najpiękniejszym dziełem Rostanda, piękniejszym od „Cyrana de Bergerac” i „Orlątka” — ale że jest nawet jednym z najpiękniejszych arcydzieł literatury francuskiej. Zrzadka tylko — tu i owdzie — słycać głosy krytyki surowej, która w Chanteclerze nie tylko że arcydzieła nie widzi, ale ostro przeciwko tego rodzaju „sztuce” występuje.

Dla tego, kto bliżej zna francuskie życie, francuską umysłowość, a specjalnie teatr francuski tego rodzaju stanowisko prasy i krytyki francuskiej jest w zupełności zrozumiałem i nie było wcale niespodzianką. Współczesny teatr francuski jest przybytkiem zabawy, flirtu, lekkich wzruszeń, mody, wszystkiego czego chcecie — tylko nie sztuki. Tego publiczność francuska od teatru nie wymaga. Wystarczy przejrzeć repertuar teatrów paryskich, a zrozumie się aż nazbyt wyraźnie co tu popłaca, czego się wymaga, za co płaci i przepłaca. Bernstein, Capus, Dumas — oto nazwiska. Kilka godzin dowcipnych słówek, lekkiego flirtu w dobrym gatunku, eleganckiej wystawy i wspaniałych strojów — oto wszystko, w odpowiednim stopniu zaprawione lekką mgłą sentymentalizmu, poezji i melancholji. To idzie — to popłaca. — Sztuki zaś prawdziwej — sztuki napróżno w tutejszych teatrach szukają. „Nie szukajcie, bo nie znajdziecie” — śmiało można powiedzieć. Nawet Ibsena jeżeli tu się przypadkiem przez omyłkę zagra, to żal się Boże! Ci sami aktorzy, którzy z taką precyzją grali modne głupstewka — wyglądają bardzo nie swojo w tem otoczeniu nawszkroś im obcem. A publiczność? lepiej o publiczności nie mówić.

Nic więc dziwnego, że w takiej ogólnej duchowej atmosferze nowa sztuka Rostanda musiała być evenement du jour. Rostand jest oddawna (już od czasów „Cyrana”) benjaminkiem publiczności i krytyki teatralnej. Lubią go za jego dowcip, za lekkość i potoczność wierszy, za malarską stronę jego utworów, za to wreszcie, że jest takim paryżaninem z krwi i kości, takim eleganckim idealnym paryżaninem beau-monde'u. \*) To się podoba. A że — jest to ciekawą niezmiernie cechą współczesnej umysłowości francuskiej — w żadnym narodzie może nie ma takiego bezpośredniego łącznika pomiędzy krytyką a publicznością jak we Francji \*\*) nic więc dziwnego, że entuzjazm, którym darzą Rostanda jest entuzjazmem ogólnym, że zniecierpliwnością wielką wyczekiwano wystawienia ostatniej sztuki jego, że wystawienie stało się prawie świętem narodowym i posłużyło jako pole do wyładowania entuzjazmu, którego paryżanom w żadnej okazji życiowej nie braknie.

Najnowsze dzieło Rostanda ma wszystkie zalety i wszystkie wady jego dzieł poprzednich — we wzmocnionym stopniu. A więc podziwu godny lekki (ach! jak lekki) dźwięczny wiersz, dowcipne — trafne — udane zwroty i wyrażenia, zręczność budowy, miłutki liryzm, miłutka melancholja i t. d. i t. d. A więc jeszcze: nadzwyczajna powierzchowność, absolutny brak pogłębienia, zupełna przypadkowość sytuacji, brak głębszych motywów, niesceniczność i t. d. i t. d. Nie chcę wchodzić tutaj w szczegółowy rozbiór tego dzieła. Nie tu miejsce potemu. Chcę tylko zaznaczyć ciekawą łączność jaka zachodzi pomiędzy twórczością literacko-sceniczną Rostanda, a stanem umysłowo-kulturalnym publiczności teatru paryskiego. Byłby to ciekawy roz-

\*) Dziennik „Camoedia” pisząc o Rostandzie na premierze „Chanteclera” zaznacza z zadowoleniem, że jego lakierowane pantofle i jedwabne skarpetki „c'était un poème”.

\*\*) Ciekawem niezmiernie byłoby porównanie między krytyką i publicznością francuską a rosyjską. Okazałoby się że stoją one na dwóch krańcach i dlatego właśnie mają wiele cech wspólnych.

dział no napisania. Łatwo by się okazało, że Rostand jest koroną piany (lub pianki) umysłowości francuskiej, że cała twórczość jego znakomicie dedukuje się z tego, co jest w umysłowości francuskiej lekkiego, błyskotliwego, dowcipnego i powierzchownego. I za to lubi się Rostanda i dlatego sztuki jego mają takie szalone powodzenie, dla tego powodzenie Chanteclera było (jak to zgodnie zaznacza krytyka) większe niż swego czasu powodzenie Ernani, Wesela Figara i innych. A przytem publiczność porwała oryginalność widowiska. Pierwszy raz to widziano Guitry jako koguta (ach—jakiego koguta!) i panią Simonne jako bażanicę. Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki gustów i upodobań publiczności paryskiej jest to, że najmniej podobał się akt trzeci, (co prawda najmniej sceniczny) gdzie Rostand zapomina prawie o tem, że ma do czynienia ze zwierzętami i każe im się zgromadzić na balu i cały czas mówić rzeczy najzupełniej ludzkie. To się podobało najmniej: francuz nie lubi zbyt przejrzystych symbolów. Za to pierwszy i drugi akt przyjęte były z zachwytem.

Dla tego — kto głębiej patrzy na zadania Sztuki dramatycznej, niż przeciętny (nawet krytyk) epicier paryski, kto od teatru wymaga nie rozrywki, zabawy, nie przyjemnego spędzenia wieczoru, a atmosfery czystej, głębokiej sztuki — ten Chanteclerem zachwycać się nie będzie. To też z głębiem zadowoleniem notujemy fakt, że tu i owdzie podnoszą się głosy przeciw bezmyślnemu zachwytowi nad tego rodzaju sztuką.

## IV.

Wystawiono Chanteclera z pompą i nakładem rzeczywiście dotąd nigdzie nie widzianym. Teatr przy Porte Saint-Martin został specjalnie przebudowany i odnowiony. Dekoracje robiono pod osobistym kierownictwem Rostanda. Podług wzorów Rostanda stworzono też wszystkie kostjmy. Mówię: „stworzono”, — bo są one istotnie arcydziełami sztuki dekoracyjno-teatralnej. Łatwo sobie wyobrazić jakie to wszystko pociągnęło za sobą koszta. Wystarczy powiedzieć, że samo upierzenie dla 120 sztuk ptastwa, występującego w Chanteclerze kosztowało 40000 fr.; najtańsze 300 fr., a były i takie, których cena dochodziła do 1000 fr.. Nic więc dziwnego, że skoro dyrektorzy teatru ponieśli takie koszta, należało je sobie w jakiśkolwiek sposób odbić. Zapłaciła za nie oczywiście — publiczność, a wzięto się do tego w sposób wielce sprytny. Prócz publicznej próby generalnej dano dwie... premjery, premjerę A i premjerę B, gdyż wielka sala teatru przy Porte Saint-Martin nie mogła pomieścić premjerowej publiczności. Ceny za miejsca podniesiono do 100 fr. za krzesło na pierwszym balkonie, mimo to jednak teatr był na obu premjerach przepełniony. I nie tylko na premjerach. Na wiele — wiele przedstawień wszystkie bilety są już wyprzedane.

Chociaż entuzjazm jest ogólny — jednak prasa pokpiwa trochę na marginesie z pompy z jaką wystawiono Chanteclera i z tajemniczości jaką wystawienie to otaczano.

Dowcipny H. Maret w swoim „Carnet d'un Sauvage” w „Journal'u” proponuje, żeby z okazji premjery A i premiery B zmienić nazwę pięter w domach na 1-sze A — pierwsze B, 1-sze C i t. d. „W ten sposób” powiada „każdy będzie zadowolony, że mieszka na 1-szem piętrze, a komorne (oczywiście) można odpowiednio podnieść”.

Lecz chociaż tu i owdzie odzywają się głosy krytyczne—nie hamuje to wcale ogólnego zachwytu. Niektóre dzienniki, jak np. „Comoedia” wydały specjalne numery poświęcone Rostandowi i jego ostatniej sztuce — i niema prawie pisma ilustrowanego

w Paryżu, któreby nie podało fotografii (w liczbie mnogiej) nie tylko Rostanda, ale i jego żony, która pisze wiersze, i jego syna starszego, który (ach!) pisze wiersze i jego syna młodszego, który (a—a) nie pisze wierszy. Od plotek i ploteczek, interwiewów i uwag, spostrzeżeń, podsłuchanych lub podchwyconych słówek na temat Chanteclera i Rostanda—roją się pisma paryskie.

Zrobiono sobie święto narodowe.

## V.

Prasa paryska z wielkiem uznaniem podnosi wystawienie Chanteclera, uważając je za tryumf i postęp teatru francuskiego. Przyznać trzeba, że wszystko co tylko technicznie można było zrobić dla powiększenia efektu — zostało wyzyskane. Najdoskonalsze jednak środki artystyczne wystawy nie zdołają z rzeczy niegłębokiej uczynić arcydzieła, za jakie krytycy paryscy chcą uważać Chanteclera. Zyskano tylko tyle, że Chantecler jest w najlepszym razie nie sztuką dramatyczną—lecz *literaturą*.  
Gustaw Been.

## KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Lucyan Rydel. „Z greckiego świata”. Nowości Literackie tom XXXII. Warszawa—1910—Lwów. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

„Z greckiego świata” Rydla to szereg anemicznych opowieści z życia starożytnych greków.

Rydel nie jest poganinem-arystokratą w rodzaju, naprzykład, Hugues'a Rebell'a, autora pięknych „Chants de la pluie et du soleil”, który istotnie odczuwa antyczną radość z życia, marzy o wypełnianiu powinności człowieka, względem przyrody—wielbi piękno—szczerze, z nieumiarkowaniem wyciąga z życia największą sumę rozkoszy intelektualnej i zmysłowej, ignorując przytem wszelką moralność i ideały ludzkiej trzody.

Rydel nie jest również nadzwyczajnym kolo-rystą w malowaniu scen antycznych, żadną miarą nie wytrzymując porównania „choćby” z Sienkiewiczem, celującym jak wiadomo w epice starożytnej—przeciwie nawet, Rydel pijanej gromadce greków na uroczystościach Dionysa każe śpiewać (str. 62).

„Gdym upojeniem zjęt  
Raźniej mi krąży krew  
I taki ze mnie pan,  
Jakbym pół świata miał”.

Tak może śpiewać podochocony krakowiak, ale chyba nie grek starożytny.

Całość książki robi wrażenie „sieczi” opisowej, autor gładziutko opisuje mieszkanie „łzawej śmieszki”—hetery Fryne, na ulicy Trójnogów—nudnie i barbarwie skreśla dialogi mężów stanu w opowieści „Po Salaminie”: nie stać go na jakąś porywającą, żywą plastykę słowa w opisach „Wielkich Dionysyj”—wreszcie opowieść, zatytułowaną „Eros i Afrodite” kończy banalnem i wytartem zmyśleniem pożaru przez modelkę-heterę, pragnącą się przekonać, które z swych arcydzieł najbardziej cenili jej mistrz i kochanek — Praxiteles.

Wybrednego czytelnika opowieści Rydla „Z greckiego świata” nie porwą za sobą w krainę antyczne-

go piękna i nie dostarczą mu ani jednej chwili rozkoszy intelektualnej—zato przeciętny czytelnik prenumeratorem nowości literackich za 50 kop. na miesiąc, znajdzie w tej książce dla siebie „trochę piroga ze serem” jak powiada Przybyszewski.

Antoni Nowacki.

JAN BILJUNAS.

## J A N E K.

(Dokończenie).

Pędzi jednego wieczora gęsi i widzi: dwóch gąsiąt niema.

— Zle,—pomyślał,—zobaczy „ciotka”, co wtedy będzie!

A „ciotka” jakby umyślnie, stoi koło wrót, czeka.

— Czy wszystkie?—pyta i gąsieta liczyć zaczyna....

— Dwóch brakuje! — Ach, ty proszę, to tak pilnujesz?....

I dopadłszy Janka zaczyna go szturchać; — idź prędzej, szukaj, znajdź: nie znajdziesz, wytlukę!...

Obleciał Antek całą wieś, całe pole — niema. Wraca smutny do gospodarzy. Nie szedłby wcale, ale gdzie się podzieje? I Janek nieśmiało otwiera drzwi chaty, chce wejść niesprzeżony i położyć się. Ale „ciotka” też obiega całą wieś i też nie znajduje. Wraca do chaty, przypada do łóżka, ściąga z niego Janka i bije, bije.

— Jeździć ci się zachciewa!... — krzyczy dzikim głosem i wali go pałką po plecach, po karku, po nogach.

Janek kręci się, wywija, jak oparzony, ale nie może wyrwać się z jej mocnych rąk. Że strachu i lez dech mu spiera. A ona rzuca go na ziemię, przyciska nogą i bije, bije. Gdy sama zmęczyła się, puszcza Janka. Nie może Janek z ziemi powstać—tak go wszystkie członki boją i tylko jęczy i płacze. Ledwo, ledwo dobiera się do łóżka i długo zasnąć nie może. Pierwszy raz w jego małej główce zaczynają zjawiać się rzewne myśli. O, nigdy go nikt tak okropnie nie karał: ani matunia, ani tembardziej tatuś. I tak mu ciężko się robi; dlaczego on nie jest w domu, nie z tatusiem razem? Ale sen wszystko koi i Janek zasypia....

Jednak nazajutrz z rana, pędząc gęsi na pole, jasno sobie przypomina co się stało, i czuje jeszcze ból na całym ciele.

Może prędko wszystko by zapomniał, ale o południu przychodzi na pole popatrzeć „wuj”, znajduje go bawiącego się z drugimi chłopcami, a gęsi opodal—i jał go srogo obijać. Wyrwał się Janek, bieży do gęsi, przypada do miedzy i gorzko płacze.... Nie, u tatusia nigdyby tak nie było. I Janek znowu wspomina chatkę, matunię. Przychodzi mu do głowy, że może już tatuś powrócił. I bierze go taka chęć — pobiedz do miasteczka swą chatkę zobaczyć. Sam nie czuje, jak zaczyna oddalać się od gęsi, zbliżać się do miasteczka: ot, już je całe z pagórka widać — i kościół i domy; zaraz

za rzeką i jego tatusia chateczka. I Janek już prędkim twardym krokiem śpieszy do miasteczka. Nic więcej już nie chce, tylko wejść do chatki i zobaczyć co tam się dzieje. A co jeśli znajdzie tatusia! I w piersi, Janka zaczyna mocno, mocno bić serce....

Ot rzeka i most, ot niedaleko i tatusia chateczka. Zbliżył się Janek do chatki i stanął, jakby nieośmielając się dalej iść. Postął trochę, potem bojaźliwie otworzył drzwi chatki i wszedł do środka. Pierwsze co rzuca się Jankowi w oczy, to woreczek, ten sam woreczek co kiedyś z domu wychodząc tatuś na plecach wyniósł. Woreczek położony na ławie koło drzwi, tylko teraz jest zabłocony i jakby nieszczęśliwy. Patrzy Janek na wszystkie strony, czy nie zobaczy tatusia. Ale tatusia niema. Widzi tylko Janek, że na ławie siedzą matunia z braciszkiem i ciotka Urszula. Matunia szlocha.

Patrzy na nich zdziwiony Janek i słyszy,

— To wam z włości woreczek przynieśli?—pyta się ciotka Urszula.

— Z włości, kumo, z włości, — odpowiada jęcząc matunia i żalonym głosem przez łzy biada: — Już nie powróci mój gołąbek biedaczek, gniją jego kości w dalekiej nieznannej krainie, nie ma już mego pracownika, gdzie się podzieję ja bieduleńka....

— Ach ty, sierotko mój, niema już twego tatusia,—mówi ciotka Urszula, patrząc na Janka.

Słyszy to Janek i cały drętwieje. Oczyma poczytna prędko mrugać i wielkie łzy czyste jak kryształ spływają mu po twarzy.

— Gdzież się teraz podzieję, z czego będę żyła! — jęczy matunia....

Wtem, jakgdyby Janka teraz dopiero zoczyła, patrzy matunia na niego wylękłemi oczami i zaczyna wołać:

— A ten czego tu przyszedł, tego jeszcze nie było! Czy nie uciekł czasem od gospodarzy?

— Wstydz się, kumo, takie małe dziecko... chce zastąpić się za Janka ciotka Urszula.

— Z oczu mu patrzy że uciekł! Gdzie twoje gęsi? — krzyczy na Janka oszalała z nieszczęścia matunia.

— W polu.... — odpowiada Janek zbieletemi ustami.

— A, a, w polu! Boże mój, Boże mój! — skarży się matunia;—wypędzić mogą gospodarze gdzie ja go podzieję!?

Zrozpaczona podbiega matunia do pieca, chwytła miotłę i pędzi Janka do drzwi.

Przestraszony, tylko żyw, wymyka się Janek z chatki i co tchu bieży nazad. Długo jeszcze słyszy za sobą głos matuni i boi się obrócić, spojrzeć.

Dobiegł do pola, do swych gąsek,—ledwie dysząc. Upadł wyczerpany na miedzę i zaczął boleśnie szlochać.

Pierwszy raz pokazało życie swe szpony, pierwszy raz odczuło jego małe serduszko niesprawiedliwość ludzi i ciężkie nieszczęście....

Przekład z litewskiego: *Stasysa*.



Z CYKLU „ARCANA”<sup>1)</sup>

AUDJENCJA.

... Po białych, marmurowych schodach Watykanu wchodzę, mijając czarno-żółte papugi gwardzistów papieskich i jakąś czarną, siwą, księżą sowę, która mozolnie winduje się w górę, będąc zbytnio może uprowadzoną w cielesną powłokę...

Przyszedliśmy z czarną sową prawie pierwsi, gdyż tylko jakaś ciemno ubrana zakonnica w białym koronie wchodzi teraz właśnie do wspaniałego *antichambre'u*, gdzie przyjmują ją lokaje w szkarłatnych, atlasowych kostjumach, z minami dyplomatów, lub ministrów... Podobieństwo do epoki Ludwików potęgują obfite, bujne, siwe fryzury, przypominające białe peruki, i chytre, wygolone twarze, ozdobione niekiedy małemi, siwemi bakenbardami, na których zakrzepły maski specjalnego namaszczenia... O ile zaś są bez bakenbardów, zupełnie przypominają księży, wywierając wrażenie, jakby papież jakichś wybrakowanych kapłanów przybrał w szkarłatną, atlasową liberję i każał im pełnić funkcje lokajów...

Onieśmielony, ogłuszony tym poważnym, łaskawym przepychem, jaki roztacza naokoło siebie monarcha wszystkich katolickich księży, omało nie pocałowałem w rękę jednego z tych szkarłatnych, atlasowych fagasów, kiedy mi zdejmował palto, biorąc go w obłądnym roztargnieniu za jakiegoś tajemniczego, watykańskiego ministra, albo co najmniej za ubranego po cywilnemu kardynała...

Sama sala audjencjonalna, dość duża, ciemno-szkarłatna, z ciemnymi, bogatymi, aksamitnymi draperjami u okien i drzwi (na tych ostatnich draperje były opuszczone, budząc poszanowanie poważną tajemniczością...), miała w sobie dyskretny, papieski przepych... Kilkanaście pierwszorzędných arcydzieł dawnych mistrzów malarstwa po ścianach, długie, w podłuż tychże ścian idące, ciemno-szkarłatne, aksamitne ławy... Pod jedną z krótkich ścian tron papieski na kilku szkarłatnych stopniach, pod ciemno-szkarłatnym, aksamitnym baldachimem...

Rozglądam się obłądnie po pustej prawie jeszcze sali (czarna, siwawa, księża sowa usiadła w półmroku, pod przeciwległą ścianą, i ztamtąd przyglądała mi się dość podejrzliwie, co mogłem wywnioskować tylko z jej *pozy*...), a obowiązkowe w takiej chwili, urzędowe niejako skupienie mąci mi i rozprasza myśl zupełnie świecka, a nawet, powiedziałbym, figlarna, jakie to rzeki złota muszą tutaj płynąć ze wszystkich stron świata, do tego złotego, księżęgo morza, jakie to tutaj niesłychane muszą być nagromadzone bogactwa!...

W dalszym ciągu przepędzam czas na wstydzeniu się, że przychodzą mi do głowy takie pospolite, nieinteligentne myśli, stawiające mnie na jednym poziomie umysłowym z jakimś Wojtkiem z Podhala, gdy przyjedzie tutaj z pielgrzymką, i na obserwowaniu powoli zapełniających salę zaproszonych na dzisiejszą audjencję gości...

... Szkarłatni, atlasowi lokaje snują się cicho, niby widma, po woskowanej posadzce, szepcząc, niby wtajemniczeni, watykańscy magowie, ustawiając czar-

no ubrane, audjencjonalne automaty obojga płci (czarna, frakowy garnitur dla panów, czarne ubranie i czarna zasłona dla pań są obowiązkowe...), stłaczając je, niby czarne owce w hurcie, w ciasniejsze koło, które będzie obchodził błogosławiący i podający rękę do pocałowania, papież, mający wejść tutaj za chwilę...

Koło drzwi, któremi wejdzie on, szepce coś ze sobą kilku prałatów... Jakaś zakonnica w szarym habicie, blada ze wzruszenia, skupia widocznie duchowe i cielesne siły na zbliżającą się, wielką w jej życiu chwilę... Pośród czarnego hurtu stłoczonych gości kilka wygolonych, księżych twarzy. Dyskretnie, umiejętnie użyte światło przedziera się do tej ciemno-szkarłatnych, aksamitnych draperji, przez żółtawe, koronkowe zasłony okien... W tajemnym, jakby zaświatowym tem świetle, bledsze, uroczystsze są twarze zgromadzonych, świętsze księże tonsury, bardziej namaszczone cała uroczystość audjencjonalna...

Nareszcie drzwiami z przedpokoju, w którym wiszą na kołkach nasze zwierzchnie okrycia (nie powiem, żeby to był szczęśliwy efekt...) wchodzi z gallowo ubranym oficerem przybocznej straży (hełm złocisty połyskuje dyskretnie, sugestjonująco w słumionem, widmowym świetle sali...) papież, wysoki, siwy, biało ubrany człowiek, w dużej, białej piusce na głowie...

Jakby na hasło, dane przez szkarłatnych, atlasowych ministrów, przyklękamy wszyscy, pokorne, czarne owieczki, a biały papież mówi coś do nas po włosku.

...Kiedy klękawszy w roztargnieniu i oszołomieniu na twardej, woskowanej posadzce na oba kolana, całowałem dużą, czerwoną, mięsistą rękę białej, tęgiej, pochylonej nademną postaci, i chłodny, ryba czy sygnet, miałem wrażenie, że z zimnych tych przedmiotów ożywiający je duch dawno uleciał, a teraz wszyscy, nawet najgoręcej wierzący, całują z namaszczeniem jakąś trupią powłokę czegoś, co było... Wszyscy, może oprócz owej szarej zakonnicy, *przymuszaliśmy się do wzruszenia*... W pewnej chwili pochwyciłem uparcie nieufny, podejrzliwy wzrok mojej księżej sowy, w którym był jakby wyrzut, że *zmuszam się niedokładnie, niedbale, aby zbyć*... Posępny, jezuicko, inkwizytorsko czujny ten wzrok, sięgający niby *pincet* chirurga, do najtajniejszych głębin duch, olśnił mnie jakby błyskawicą!... Nie spodziewałem się tak trafnej intuicji po czarnej sowie w sutannie!..

...Na pożegnanie spiorunował mnie jeszcze wzrokiem w przedpokoju szkarłatny, atlasowy lokaj, siwy, wygolony, z małemi, siwemi bakenbardami, któremu nie dałem za podanie mi palta ani *centesima*, nie ze skąpstwa, ale poprostu z ogłupienia i oszołomienia tem wszystkim... Mówiąc szczerze, *nie śmiałem* mu nic dać... Nawet lir wydał mi się za ubogiem, *przedpokoju* *świętopietrzem*, wobec tych szkarłatnych, atlasowych, tak sugestyjnych wspaniałości i przepychów!... Nie, stanowczo, lokaje papiescy, we własnym dobrze zrozumianym interesie, powinni być mniej rzucające w proch, mniej ministerjalne, oszalamiające miny!..

...Schodząc z zaoszczędzonym w cudowny, chociaż psychopatyczny sposób, lirem w kieszeni po białych, marmurowych, schodach Watykanu, śmiałem się do siebie cicho, augurowo, obłądnie, czasem aż przychałem ze śmiechu, ku zdumieniu mijanych przemień czarnożółtych papug, papieskich szwajcarów..

<sup>1)</sup> Z IV serji poezji.

## Z CYKLU „ARCANA” \*).

W I Z J A.

...Kilkugodzinna włóczęga po murach watykańskich, tłumy walących się na mnie wrażeń, białe katarakty greckich marmurów, magiczne wtajemniczenia, otrzymywane przed niektórymi obrazami, tak mnie wyczerpały duchowo, że, pragnąc dać umysłowi i oczom wypoczynek, usiadłem w jakiejś zapadłej, pustej już zupełnie sali, w dużym, purpurowym, o białych, złożonych boazerjach, fotelu, może na jakim tronie, i, przymknawszy powieki, zatonałem w złotym, baśniowym marzeniu...

Trudno byłoby malować ubogimi barwami ludzkiej mowy, co mi się wówczas śniło, najlepiej zrobię, gdy przejdę nad tem do porządku dziennego... Dość, że kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem ze zdumieniem, że nie jestem sam... Pod przeciwległą ścianą, na której płonęły w słońcu jakoś upiornie, krwawo stare, włoskie obrazy, i *męczyły się potępieńczo* tem półzyciem w barwach na zeschniętych płótnach *poe'owskie*, dziwne, ponure portrety dawno już zmarłych kardynałów, dam i rycerzy, stali obok siebie w przyciszonej, tajemnej rozmowie, młody kardynał, mocny brunet o rzymskim, cesarowym profilu, cały w purpurze, w purpurowej piusce na głowie, szeleszczący jedwabiem, niby kobieta, i jakiś drugi młody człowiek, widocznie malarz, w aksamitnym, czarnym ubraniu z epoki Odrodzenia, o bladej twarzy, dużych, orzechowych oczach, ciemnym zarostem i ciemnych, kasztanowatych lokach, spadających mu na plecy..

Pełen niesłuchanego szczęścia, jakiejś boskiej radości, której nie umiałbym nigdy określić przyczyny, zerwałem się na nogi i nieśmiało, jakby w obawie, czy mnie zechcą przyjąć do swego towarzystwa, podszedłem do nich..

Ale zatrzymałem się w pół drogi, nie chcąc być niedyskretnym, widząc, że wciąż kontynuują, nie zwracając najmniejszej uwagi na mnie, swoją tajemną naradę, a może jaki spiszek...

Miałem to przejmujące uczucie, którego nie będę umiał wyrazić słowami, że właściwie *czasu niema*, że *wszystko się dzieje w Wieczności*, i że to przecięcie mojej elipsy życiowej z tą jakąś wyrocznią, ważną w dziejach Ludzkości chwilą, której nieobliczone następstwa dadzą się może dopiero uczuć w dalekiej przyszłości, że to przypadkowe, tajemnicze spotkanie *śród Mare tenebrarum*. Bytu dwóch łodzi, płynących każda w zupełnie inną stronę, trzech ludzi, z których tych dwóch z wizji należy do tak odrębnego, innego typu ludzkiego, innego sposobu odczuwania, myślenia, jest najzwyklejszym, najnaturalniejszym w świecie i że byłoby *filisterstwem duchowym* dziwić się tutaj czemukolwiek... Zresztą, tak dobrze, jak oni dla mnie, i ja dla nich przecie mogłem być *wizją* z dalekiej, przeczuwanej mgliście, może utęsknionej przyszłości..

W *poe'owskim* tem przypuszczeniu utwierdziło mnie *zdumienie*, jakie ich znowu ogarnęło z kolei, kiedy podczas tego tajemnego, spiskowego jakiegoś szepcota, spojrzawszy bezmyślnie, machinalnie w moją stronę, ujrzeni widocznie moją pobladałą, upiorną postać współczesnego, duchowego tułowia...

Wystawiam sobie, jak dziwaczny musiał się im wydać mój ubiór, kapelusz, trzymany w ręku, binokle, trzymające się same na nosie...

Długo staliśmy w tem osłupieniu, przypatrując się sobie wzajemnie i pragnąc widocznie zaznajomić się, porozmawiać ze sobą...

Próbowałem wskrzesić w sobie to uczucie niesłuchanej radości, słonecznego jakiegoś szczęścia, które mnie pierwotnie ku nim instynktownie popchnęło!...

Napróżno!...

*Czuliśmy* beznadziejnie wszyscy trzej, jak otchłaną jest ta dzieląca nas odległość kilku wieków, z jak innych zupełnie światów, epok jesteście ludźmi!...

I, gdybyśmy nawet mogli porozumieć się ze sobą, gdyby oni mnie mogli usłyszeć w Wieczności, *w czasie* (pomimo, że *w przestrzeni* byliśmy przecie tak blisko siebie...), może nie mielibyśmy sobie właściwie nic do powiedzenia...

I ogarnął nas wszystkich wielki, bezdenny *smutek istnienia*.

Wacław Wolski.

## Z T E A T R U.

Wolna Kobieta — komedia groteskowa w 3 aktach p. Stefana Kiedrzyńskiego. (Teatr Mały).

Literatura dramatyczna i powieściowo-nowelistyczna cierpi na chorobę, która nazywa się „człowiek przeciętny”. Zastępy pisarzy wysilają swój talent, by opisać jego błędy, upadki, niedomagania moralne i niemoc psychiczną. Sledzą go uważnie, podglądają, zapisują, jak jała, kicha i śpiewa. Opisując typy szare, rodzaj karłowatej roślinności skłaniają się pisarze do gorzkawej wyrozumiałości, albo do słabiutkiej ironji albo do dydaktyki. Człowiek niewysokiego gatunku ma powodzenie w literaturze. Wzięty jest pod literacką opiekę, jak gdyby chodziło o utrwalenie tego typu nazawsze.

Wśród literatów najmłodszych nie widać dotąd tęsknoty do innego życia i innych ludzi. Nie ma popędu do tworzenia postaci o potężnym rozroście zła i dobra. W życiu są przecież marzyciele, ludzie oryginalni, dziwacy entuzjaści, lecz literaci przechodzą koło nich nie widząc. Jako wyjątek nie mają, widocznie te typy dostatecznego w ich oczach znaczenia wobec ogromnej przewagi liczebnej typu najbanalniejszego pod słońcem.

P. Stefan Kiedrzyński dzieli z innymi autorami upodobanie, o którym mówiłem wyżej. Jego pani Staniewska jest samicą najpospolitszego rodzaju. Wszystko w niej tchnie próżnią. Jedne z kobiet grasujących niewątpliwie po lokalach małżeństw legalnych, kobiet, które, jeśli nie są lekkomyślnie rozpustne, jak ona, uchodzą za osoby godne szacunku. Zespołu dopełniają nadzwyczajnie banalny mąż, nadzwyczajnie banalny adwokat i patetycznie banalny pieczeniarski. Jest rzeczą charakterystyczną jak troskliwie strzegł się autor przed nadaniem któremukolwiek ze swych „bohaterów” choć odrobiny głębszej wartości ludzkiej. Pod tym względem dawniejsza sztuka autora „Karzełki” miała większą wartość.

Autor drwi ze swych postaci, sypie conceptami, bez żółci i gniewu, raczej jako człowiek, któremu w gruncie rzeczy wszystko jedno. Równolegle z upodobaniem do tkwienia w światku marnoty brak Kiedrzyńskiemu (w tej sztuce) energicznej reakcji uczuciowej. Autor ma dowcip, nerw dramatyczny, umiejętność nie być nudnym. Talentem swym wciąż widza w zakres odbywającego się na scenie procesu życiowego, lecz ten proces to harce humorystyczne bez głębiej odczuwanego celu. Brak twórczej tęsknoty — oto błąd utworu Kiedrzyńskiego.

Na to mogą mi odpowiedzieć, że Kiedrzyński osiągnął swój zamiar artystyczny. Chciał dać kilka

\*) Z IV serji poezji.

osób psychicznie zwyrodniałych i zasypać te osoby racami dowcipu. Zapewne. Nie zarzucam autorowi złego wykonania, lecz zły zamiar. Zamiar zbyt mały i skromny, wysiłek idący po linii najmniejszego oporu.

Ludzie nieciekawego gatunku, w których nie ma zagadnień, obserwowani przez autora — spostrzegacza, w którym pod ich wpływem nie dzieje się nic stanowczo-zdecydowanego, nie mają dla widza wartości.

*Leon Choromański.*

## KRONIKA.

— W dn. 12 kwietnia w lokalu Tow. pracy społecznej odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie Tow. opieki nad wychodźcami. Po długich, obfitujących w różne epizody, obradach, dokonano wyboru zarządu. Postanowiono także zwołać za dwa tygodnie walne zgromadzenie tegoż Towarzystwa, a to celem zupełnego już ustalenia ustawy.

— Nowo zorganizowane Tow. współdzielcze budowy domów pod nazwą „Wspólność“ przystąpiło do budowy pierwszego takiego domu na nabytym na ten cel placu przy ul. Pańskiej № 100.

— Kary prasowe. Na 100 rb. grzywny skazano redakcję „Kurjera Porannego“ za zamieszczenie utworów poetyckich p. Wacława Wolskiego p. t. „Golgota“ i „Zmartwychwstanie“.

Na rb. 100 skazano red. „Gazety Warszawskiej“ za korespondencję z Petersburga p. t. „W sosie konstytucyjnym“ wydrukowaną w № 87 tego pisma.

Redakcję żargonowago „Freinda“ za notatkę o posłuchaniu przedstawicieli zjazdu rabinów u p. Stołypina skazano na 50 rb. kary.

— Z prasy. P. Antoni Sikorski otrzymał koncesję na wydawanie w Warszawie miesięcznika literacko-artystyczno-naukowego p. t. *Maska*.

W dn. 21 b. m. wznowiony zostaje tygodnik polski *Izraelita*. Pismo to wychodziło w ciągu blisko lat 45 i po półtorarocznej przerwie zostaje wskrzeszone, pozostając nadal wierne hasłom asymilacji żydów. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Prózna № 8.

— Senat orzekł, że proboszczowie i administratorowie parafii katolickich są obowiązani prenumerować miejscowe „Gubernskija Wiedomości“.

— Wyszedł № 1 tygodnika łomżyńskiego p. t. „Wspólna Praca“. Jako redaktor i wydawca podpisuje p. Fr. Hryniewicz.

— Z ruchu robotniczego. W fabryce wag Izzydora Cukiermana (Chłodna № 29) zastrajkowali robotnicy, żądając podwyższenia zarobków; nadto strajkujący nie zgodzili się na jednorazowe potrącanie zaliczek pobranych na święta Wielkiejnocy, żądając, aby zaliczki potrącane były ratami z zarobków.

— Wszystkie pisma żydowskie w Warszawie zamieściły na czele numeru „Wyjaśnienie“, treści następującej: „Rozważywszy deklarację Polskiego Zjednoczenia Postępowego o żydach w Polsce, przedstawiciele grup żydowskich, w obecności przedstawicieli prasy żydowskiej, doszli do następujących wniosków:

1) Protestujemy najmocniej przeciw oskarżeniu, które rzucono na pewne grupy żydów, że są wrogie pod jakimkolwiek względem lub w jakichkolwiek warunkach narodowi polskiemu. Takie grupy nie istnieją. Każdy uczciwie myślący żyd-nacjonalista jest zainteresowany w rozkwicie i rozwoju Polski i kultury polskiej i nigdy się nie przeciwstawi interesom narodu polskiego.

2) Nacjonalizm żydowski jest przede wszystkim kulturalny, jedynie w nacjonalizmie żydowskim i na gruncie języka żydowskiego widzimy możliwość rozwijania masy żydowskiej, jak również utrzymania egzystencji naszego starego plemienia.

3) Żadnych agresywnych dążeń nie ma nacjonalizm żydowski, a wszelkie gadania o zagarnięciu polskiej ziemi i rozdzieleniu jej pomiędzy dwoma narodami, nie są niczem innym, jak oszczerstwami.

4) Jesteśmy przekonani, że jedynie uznanie obywatelskich i narodowo-kulturalnych praw narodu żydowskiego może wytworzyć z żydów polskich uczciwych dopomoczących (Mithälfer) w rozkwicie i pokojowym rozwoju Polski.

Wierzymy w siłę wewnętrzną narodu żydowskiego, który już tyle doświadczeń przeżył w swej długiej historii, że żadne groźby nie sprowadzą go na manowce i nie będą przeszkadzały naturalnemu biegowi pokojowo usposobionego, samozachowawczego narodowego rozwoju“.

Na stypendjum im. Jadwigi ze Szczawińskich Dawidowej: Konstanty Czyżyk z Charkowa 75 kop. Dr. A. Kuropatwiński z Suprasła 1 rb.



MACZKA  
**NESTLÉ**  
MLECZNA

Idealny pokarm  
dla niemowląt  
oraz dla osób dorosłych — chorych  
na żołądek.



Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!  
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

**HERBATA z gór Harcu**

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, lecz wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny.

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

**UWAGA:** Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

**JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Ślińska № 98a. Telefon 184-44.**

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.



Największe powagi lekarskie całego świata polecają

PASTYLKI

**GERAUDEL'a**

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie **chrypkę, katar, kaszel** oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

**Cena pudełka 85 kop.**

**UWAGA.** Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

## Roczniki

„GŁOSU“, „PRZEGLĄDU SPOŁECZNEGO“ i „SPOŁECZEŃSTWA“ do nabycia w redakcji „Społeczeństwa“.

**Cena rb. 3, z przesyłką pocztową rb. 4.**

## BEZ DOGMATU

dwutygodnik niezależny, postępowy, radykalny, poświęcony sprawom społecznym, politycznym, ekonomicznym.

W dziale ekonomicznym omawiają się przeważnie sprawy poszczególnych zrzeszeń zawodowych.

Celem udostępnienia pisma naszego szerszej publiczności, oznaczyliśmy nader niską prenumeratę tegoż: **rocznie rub. 3. półrocznie rub. 1.50 kop., kwartalnie 75 kop.,** wraz z odnośzeniem lub przesyłką. Dla członków zrzeszeń zawodowych: **rocznie rub. 1.50 kop., Półrocznie 75 kop., kwartalnie 40 kop.,** wraz z odnośzeniem lub przesyłką.

Adres redakcji i administracji:

**Warszawa, ul. Wspólna 77.**

## Wyjątkowa zniżona cena następujących wydawnictw naukowych „SPOŁECZEŃSTWA”

- U. Sinclair. „Trzęsawisko”. Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Rb. 1.  
 Ludwik Kulczycki. Narodowa Demokracja. Kop. 10.  
 L. Kulczycki. Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji. Kop. 25.  
 K. Zalewski. Kwestja rolna w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji. Kop. 10.  
 Dr. A. Pannecock. W państwie przeszłości. Kop. 5.  
 F. Lassale. Program robotniczy. Kop. 5.  
 St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Kop. 5.  
 Paulsen. Kant i jego nauka. Z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu” i „Krytyki Praktycznego Rozumu” uzupełnił J. Wł. Dawid. Rb. 1,20.  
 J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologii doświadczalnej. Kop. 50.  
 J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologii jako nauki doświadczalnej. Kop. 30.  
 Ribot. O wyobraźni twórczej. Kop. 20.  
 H. Höffding. Zasady etyki. Kop. 10.  
 J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Kop. 10.  
 O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Opracował M. Aleksandrowicz. Kop. 25.  
 J. Wł. Dawid. Mózg i dusza. Kop. 25.  
 W. Lexis. Podstawy Kultury Współczesnej. Kop. 25.  
 C. Snyder. Obraz świata podług najnowszych badań przyrodniczych. Rb. 1.  
 Chochoł. Zbiór utworów satyrycznych wierszem i prozą. Kop. 20.

Wysłać zamówienia do administracji „SPOŁECZEŃSTWA”.  
 Warszawa, Żórawia 29, telef. 116-67.

## „WZŁOT” dwutygodnik literacko-naukowy.

wychodzi od 10 grudnia 1909 roku pod redakcją:

**ROMANA PIOTROWICZA**

i kierunkiem: **Ludomira Sujkowskiego i Władysława Erenta.**

„WZŁOT” Służy interesom kolonii polskiej w Moskwie, starając się by na jego łamach znalazło oddźwięk wszystko to, co interesuje ją i obchodzi.

„WZŁOT” pragnie informować wszystkich interesujących się kolonią polską, o Moskwie, o jej życiu, charakterze i potrzebach.

Prenumerata **Wzłotu** wynosi **rb. 3** z przesyłką.

Adres Redakcji i Administracji:

**Moskwa Śreteńka, Łukow zaułek d. 4 m. 2.**